

BOGDAN CZAYKOWSKI

# POINT-NO-POINT

(1953-1970)

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1971









**POINT-NO-POINT**

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 201

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi  
par 78-MAISONS-LAFFITTE

BOGDAN CZAYKOWSKI

# POINT-NO-POINT

(1953-1970)

*JADZE, EWIE, PIOTROWI*

**INSTYTUT**

**PARYŻ**



**LITERACKI**

1971



I



## O G R Ó D

*m a t c e*

Tu, w tym ogrodzie, jest na pewno człowiek.  
Lecz widać tylko wiele oczu, a nic ciała.  
Tu, w tym ogrodzie, może jest kobieta:  
Wśród połyskliwych liści leży pierś dojrzała.  
A w szmerze jest słuch dziecka — jakby powój  
Pnący się na łodygi słoneczników.  
Chyłkiem rozgarniam trawy u stóp czyichś,  
Lecz brak mi wciąż odwagi podnieść oczy:  
Przedemną stoi nagość — jak tu pięknie!  
Ogród zielnym półkolem wziął mnie w cichy nawias  
I bananowym liściem zakrył jasną wypukłość.  
Nie trudzę zbytnio wzroku i tylko potrącam  
Cięciwę półksiężycą — arbitralną linię.  
I tak mi dobrze z moją konstrukcją w błękanie,  
Że lekkość myśli wznosi wzwyż dali kopułę,  
Wyodrębniając jasny obręb horyzontu.  
W ogrodzie tym na pewno jest kobieta:  
Oto się białe ramię przytula do jabłoni,  
Gdy górą fragment twarzy wciąż szuka dopełnienia,  
A nagi tors mężczyzny wynurza się z jaśminu.  
*Szelesty w taflach liści i liście liście liście  
szelesty rozniecają w wysmukły kształt płomienia  
zielone iskry pąków i zieleń płonie traw.*  
Skoczyła noc na księżyc. Pod gwiazdą usnął paw.  
Wiatr zgarnia rdzawe srebro. Nad wodą palma kwili.

Z łupiny kokosowej pije mleko kobieta,  
Która tu jest na pewno. Jej ciało to wyzłaca  
Niezastąpione słońce, a później chłód wygładza  
I rzuca na ramiona w półmroku ciepłe włosy.  
Więc teraz się przybliżę.

Po liściu mrok się stacza  
I gdzieś tu bywał człowiek — tu wklęsłość miał na biodro,  
Gdzie teraz po jeziorze gna zmarszczka wody liście.  
I pewnie te oliwki brał w usta, w które spływa  
Od dawna słona kropla — co z czoła się poczęła —  
Gorąca kropla potu.

Więc teraz się oddalę,  
By zmierzyć cień kaktusa długością mego snu.  
*Quieta non movere.* Niech mrówki doją mszyce.  
Siekiera trzebi ogród. Lecz ciągle płonie zieleń.  
I najpiękniejsze z cisz wciąż kryją się w ogrodzie,  
Który się kiedyś zwało — i pięknie — wirydarzem,  
Lub rajem, utraconym, który tu opisałem,  
Z pamięci.



II



## W I D O K

pazur słońca  
rozdrapał chmury do krwi  
wiatr liże mokrym jęzorem  
płonące rany

a z drugiej strony nieba  
skrada się  
wśród drzew krzepnących w mrok  
łasicą

księżyc

## ŚCIEŻKA SREBRNEGO ŻWIRU

Boso przyszedł,  
ścieżką srebrnego żwiru,  
czemu stoisz na krawędzi cienia?

Wystarczy byś się schyliła  
i nabrała w dłonie żwiru ze ścieżki,  
i postąpiwszy krok,  
przesypywała w palcach kamyczki,  
a rozjaśnisz zielone listki oczu  
i cień mój w drzewie.

I ja do twych dłoni się schylę.

Nabierz żwiru — szybko!  
Nim śpiew ptaka ucieknie z listowia.

## CZŁOWIEK TO TYLKO SZUMIĄCA MUSZLA

Tłum jest jak morze.  
Zanurzamy w nim dłonie  
i prawie na ślepo  
wyławiamy przyjaciół.  
I wychodzimy razem na plażę  
bosymi stopy smakować żółty piasek.

W piasku sypkim porzucamy się  
obok siebie jak muszle  
i słuchamy szumu swego,  
nie mogąc przebić skorup  
co kryją ten szum,  
nie mogąc zbadać tajemnicy  
ni swojej, ni cudzej  
tej muzyki.

Obok nas, porzucone w żółtym piasku,  
leżą skorupy pękniętych muszli,  
w nich jest pustka i cisza.

Za chwilę przyplływ  
zacznie zwilżać pod nami piasek,  
za chwilę jego fale nas zagłuszą  
i poniosą w głąb,  
gdzie się gubimy.

1953

## WIERSZ DYDAKTYCZNY

Kiedy się kończy dobrodziejstwo ognia  
A rozpoczyna przekleństwo pożaru —  
Nie zapominaj, że łuna jest tęczą,  
Którą na chwilę jeden kolor pożarł:  
Czerwieni.

Kiedy się życie kończy jak dym z komina,  
Gdy nikt nie liczy śmierci, bo cyfra  
Jest większa niż obejmie wyobraźnia —  
Nie zapominaj, że tylko na chwilę  
Pochłonięta jest krew przez żarłoczność  
Bieli.

1955

## KLUCZYKI

Oto jest dziwny świat.  
Gdzie ja zgubiłem kluczyki?  
Wiatr w okiennicę bije.  
Oto jest dziwny wiatr,  
Otwierający szpary w mroku  
Dla swoich niewidocznych, chłodnych oczu.  
A ja?  
Z której strony drzwi stoję ja?  
W pokój patrzę czy na dwór przez okno?  
Oto jest dziwny deszcz,  
W którym topole i fotele mokną.  
Lecz ja!  
W czym salonie jestem?  
Malarz jakiś używał wodnych farb na ścianach.  
Gwiazdozbiorem kopuła spięta.  
Orion w dłoni krzyż południa trzyma.  
Lecz po której stronie gwiazd ja jestem?  
Niebo mam pod nogami czy nad oczyma?

Dziwne niebo. Dziwolężne.  
Gdzie ja podziałem kluczyki?  
Nić wije się — jak w bajce.  
Lecz watek kłębkami w trawy się potoczył.  
Ale trawy nie moje.  
Nie depcz traw — mówi księżyc.  
Nie bierz w usta rosy — nie widzisz,  
Ze ja ją zapalam.

Mój jest płomień w wodzie — mówi sierp  
Księżycą koszący blaskiem łąkę.

Moja jest łąka — woła koń  
I cwałuje ku księżycowi przez trawy.  
Gdzie ja jestem, patrzący na walkę  
Księżycą z koniem? Grzywę konia  
Chwyta zębami księżyc,  
Koń staje dęba w niebo, rżąc.

Gdzie ja zgubiłem kluczyki?  
Gdzie ja podziąłem ścieżkę?  
Z twoich oczu zielonych  
Zrobiłem ci kolczyki.  
I teraz oczy nosisz w uszach.  
Co nimi widzisz?  
Rozdzielają nas fale  
Unosząc dziwny sen.

Gdzie ja podziąłem łódkę?  
Czy była papierowa?  
Czy ją rozmoczył deszcz?  
Ach, znalazłem kluczyki.  
Ale żaden z nich do żadnych drzwi nie pasuje.



## ARGUMENT

nie ma nie ma dla mnie  
miejsca  
ni tu ni tam  
tu wolność  
ryba na piasku  
tam mnie klatka czeka w rogu obfitości  
między widownią a sceną  
to ja jestem żelazną kurtyną  
dzielę  
dwie  
niedorzeczywistości

1956

## BUNT WIERSZEM

Urodziłem się tam.  
Nie wybierałem miejsca.  
Chętnie bym się urodził po prostu w trawie.  
Trawy rosną wszędzie.  
Nie chciałyby mnie tylko pustynie.  
Lub mogłem się przecież urodzić  
W kłębuszku wiatru,  
Gdy oddychają powietrza.  
Ale urodziłem się tam.  
Przykuli mnie gdy jeszcze byłem dzieckiem.  
A później z łańcuszkami puścili w świat.  
Jestem tutaj. Urodziłem się tam.  
Gdybym choć się urodził na morzu.  
Żelazo namagnesowane  
Co wciąż mnie na biegun kierujesz,  
Ciężkie jesteś; bez ciebie mi tak lekko,  
Że tracę wagę siebie.  
Więc noszę te łańcuszki  
I potrząsam nimi jak lew grzywą.  
A ludzie stamtąd krzyczą:  
Wróć.  
Wołają: cip, cip, cip.  
Proso z kąkolem na wiatr.  
Pies do budy.

Ja jestem poeta (trzeba się nazwać).  
Język moim łańcuchem.  
Słowa obrozą moją.  
Urodziłem się tam.  
(Chętnie bym się urodził po prostu w trawie).

1956

## MODLITWA

rzuć mię w obłok panie

lecz nie czynź mnie kroplą deszczu  
nie chcę wracać w ziemię

rzuć mię w kwiat panie

lecz nie czynź mnie pszczołą  
umarłbym od nadmiaru pracowitej słodyczy

rzuć mnie w jezioro

lecz nie czynź mnie rybą panie  
nie potrafię być zimnokrwisty

rzuć mnie w las  
jak szyszkę w trawę  
niech mnie nie znajdą rude wiewiórki

rzuć mię w spokojny kształt kamienia  
lecz nie na bruk londyńskiej ulicy  
panie gryzę zębami mury tego obcego miasta

co mnie obracasz na ogniu  
wyrwij mnie z płomieni  
i ułóż na cichym obłoku

\*  
\*\*

Twój jedwabisty włos  
(*your silky hair*)  
i ziela oczu  
jak gwiazdziste osty,  
do których dziecko dłoń wyciąga  
jak promień radosny,  
mówiąc: ty jesteś najpiękniejsza,  
i ludziom ogłasza  
tak niesłychaną rzecz!  
jaki prosty  
profil mój z twoich oczu,  
jak rośniesz we mnie —  
gwiazdoramienna,  
gdy jestem jak dziecko

najpewniejszy w świecie  
i najbardziej niespokojny

## KIEDY PADA ŚNIEG...

Kiedy pada śnieg,  
wtedy latarnie  
są jak choinki,  
a noc pada na nie  
bardzo czarnymi płatkami — jak śnieg.

Kiedy pada śnieg,  
jasna cisza  
wiruje w lekkim tańcu oczekiwania  
i ślubną suknię kładzie,  
biały niepokój  
zakochanej

Kiedy śnieg pada  
skrzypią miękko sandały anioła,  
który w nim szuka pióra ze swych skrzydeł.

Kiedy śnieg pada,  
łagodniej gzymsy,  
a kamienie są jak białe puszyste króliki,  
chrupiące srebrne łopuchy.

Gdy księżyc idzie po śniegu,  
na liściach leżą gwiazdy.

A noc jest jak poemat,  
pisany białym wierszem.

## III





## ARS POETICA

Konfiguracje są konspiracjami  
a dojrzwianie  
to jest kwestia zdrad  
i odzyskanych niewinności  
także  
ścisłej tęsknoty ptaka  
do wędrówki.

Jest prawo czterech kół  
które się nie doganiają  
i koła piątego co w pyle  
towarzyszy purpurowo i złoto.

Jest prawo opadu dojrzałych jabłek.

Prawo lejc.

Trzeba przejść przez zdrady  
samego siebie, do elastyczności.

Ale nie ma zgody na śmierć.

## PREHISTORIA

Ruiny, ale z energią  
kształtu, fragmenty,  
ale jak myśli Pascala  
spięte u firmamentu,  
bunty, ale przeciwko władzy,  
wyprawy, według zatartych map.

Był jak dzikus  
rzucony na Dzikie Pola,  
w dali majaczyło  
Bizancjum.  
Obłoki nie miały centaurów,  
Ledy z łabędziem,  
Orion  
ginął w potopie gwiazd.

Szczęśliwy, nie roztrzaskany  
miał świat, lecz jak  
z chaosu  
wszystkie mu elementy  
mieszały się do stworzenia.  
Przeorana wojną  
nagich żywiołów  
wyłaniała się — ziemia.

## MITOLOGIA

*Adamowi Czerniawskiemu*

Ku Olimpowi szedłem nocą  
Odpoczywając widokiem w dzień.  
Krokiem tanecznym biegły furie  
Szarpiąc za włosy cień.

Badałem Pytii usta  
I Kassandry wzrok.  
W oczodołach jarzyła się pustka.  
W ustach wrzał bełkot.

Mówiłem z Apulejusza osłem,  
Lecz wrył się tępo w czas  
I zęby szczyrzył żółte  
Jak wściekły pies.

Odoswojone zwierzę — rzekłem —  
Widocznie upłynął szmat historii:  
Eros skurczony jak embrion  
Patrzy z przestrachem w twarz glorii.

Smrodliwe wyrzuca popioły  
Wulkan Etny.  
Już Leonidas goły  
Spalony. Kwilą sępy.

Kwilą. I szemrze Dafne  
Zwęglona.  
Owoce zrodził trefne  
Gaj Platona.

Przekwitły w płomieniach dżungli  
Furie. Nie słyszę głosów.  
Tylko nad stadem kundli  
Płacz albatrosów.

Na ogół jednak ptaki  
Niewolnikami są okrętów.  
Tak że dziś cynizm szczurów  
Zda się odwagę.

Ale okręt nie tonie.  
O bogowie z góry!  
Przez szpary w nieboskłonie  
Gwiazdy węższą jak szczury.

Lecz gdzie praca termitów?  
Gdzie erozja morza?

W zimnej apatii błękitu  
Czai się burza.

## AGE DE LA PIERRE

W tym mieście usunięto gruzy z placów.  
Pobudowano nowe domy (każdy  
może to sprawdzić  
naocznie)  
Cmentarze uporządkowano.  
Sądy skazały jednych, i drugich.  
Później były amnestie pomordowanych  
i pozostałych przy życiu rehabilitacje.  
Dobrowolnym banitom pozwolono wracać.  
Ale oni trwali przy nadziei.  
Innych pochłonęły pożytki.  
Natomiast uzyskano repatriacje.  
I tak ci i owi wrócili do życia.  
A ci i owi nie wytrzymali cudu nad Łazarzem.  
Pytasz jakie otwierają się perspektywy?  
Nie usuniesz gruzów myśli, nawet budując pomniki  
na każdym z grobów.  
Aż wzrosną nowi ludzie.  
O których tyle tylko wiadomo,  
że wezmą ciężkie dziedzictwo.

## K O L Ę D A

w bieli urodzony  
ciemnością cię karmię  
nie przyniosą ci królowie  
srebra ani złota

gwiazdę nad twym domem  
zasłonią anioły  
ciemne jak heban

gdy będziemy uciekali  
bez światła, bez dróg,  
kanałami

zostaniemy na miejscu  
Egipt mobilizuje wojska  
w Izraelu dynamit

nie ma gdzie unieść główki  
kraje podminowane  
błyszczą złowrogo na celu

matko, nałóż żałobę  
odpraw Jana Chrzciciela  
wody Jordanu skażone

nie zamienimy w wino  
wody na weselu  
zapalają pochodnie

w trzydziestym trzecim roku  
krzyże staną na stoku  
bez gwoździ

Zstąpił do piekieł  
Trzeciego dnia nie zmartwychwstał  
Nie będzie sądził żywych ni umarłych

\*  
\* \* \*

## I

Gwałtownikami kogo nazywamy dziś?  
kiedyś  
chodzili z krzyżem, a krzyż był gwałtowny,  
w drzewo wsiąkała krew, krzepła cierpliwie  
obok śmiertelnej maski.

Tak właśnie widzę, takich właśnie widzeń  
noc przewidzenia w wybuchach rozświeleń  
burzliwie przewaliła się,  
gnę bunt na kolano, gwałt zadaje sile,  
siłą wymuszam słabość, okiełzany sztormem  
nie potrafię inaczej.

Gdy całej rewolucji rozmach w sobie ścieśnił  
(i pisał manifesty), tam, na końcu drogi,  
rzecz była jasna, gaj oliwny, wzgórze.

Popatrz, człowieku: miałem ciebie w dłoni,  
i cóż ja mogłem? zabić, wygnąć z domu,  
sieci potargać ryb srebrnym nadmiarem,  
zawrócić z drogi Łazarza, gdy nie szedł,  
a tylko cicho leżał, może wesół,  
widziałem drganie powiek, kiedy nań wołano:  
wstań, człowiecze, kazałem ślepcom spojrzeć na mnie,  
i jezioro gwałciłem naturalną stopą —



więc mogę zabić, wygnać z domu, skazać na więzienie:  
tyle mogę. I na cóż całe przewidzenie?

## II

Gwałtownikami  
kogo nazywamy dziś?

## T R E N

### I

Palce trzymają płomyk  
i nim się cały zapali,  
chwilę się waha, samotny,  
wtem z myśli płomyk ocalił  
i zażęł się, tam, na placu,  
i jak pochodnia się pali.

### II

Chcesz wiedzieć, jak człowiek się pali?  
Wiersz ci tego nie powie.  
Włóż swe dłonie w płomienie,  
utrzymaj przez jedno mgnienie  
nie zapalonych powiek.

Włóż dłonie w ogień,  
jeśliś człowiek.

## LA CONDITION

Miał trzy lata i bęben,  
Wracał w stany zaprzeszłe,  
Pałeczkami na skórze  
Wykłuwał tatuaże.  
Zdobył czapkę-niewidkę,  
Strój błazeński od wstydu,  
Umiał widzieć na oślep,  
Umiał mówić, jak niemy.

Kiedy nachodzi na nas niemota,  
Rodzą się stany pół-normalne,  
Tlą się ryby nadwodne,  
Wyłazą oczy z smug dymu.  
Akwarium świeci jak balon,  
Świat się toczy kuliście,  
Ale nas niewidocznych  
Kryje dym mokrych liści.

W towarzystwie jak potwór  
Czai się jakaś postać,  
Widać kaptur i uszy,  
I ruch warg, i nic więcej.  
Coś potrafi nas zmrozić  
Wpośród śmiechu nagłego,  
Żółta skóra bez włosów  
Obciągnięta na ruszcie.

Umieć widzieć abstrakcje  
Boli jak aberacja:  
Przemarsz włosów przez ciało  
Bunty wznieca w zaświecie;  
Tłuste ciało filuje  
Zanim buchnie płomieniem,  
Rudych wąsów pożary  
Giną w czeluściach twarzy.

O straszliwa opresjo,  
Bywać przelotem z burzy  
W suchej wirtuozerii  
Krajobrazu z ogłoszeń.  
O gnębiąca obsesjo,  
Wracać z technikoloru  
W mroczne rozgałęzienie  
Siedliska żmij — korzeni.

Kto ma czapkę-niewidkę  
Ten może zamknąć oczy,  
Zaszyć się w kąt, milczeć,  
Jechać na osłe przez palmy.

## ZDOBYCIE BERDYCZOWA

*pamięci Jerzego Stempowskiego*

Wynieśli na pikach jarzący się miesiąc  
I jarem pomknęli nad rzeką ku baszcie,  
W tajnym komuniku pośpieni na koniach,  
Kamienieją rycerze Berdyczowa na warcie.

Oni, co wyrastając, zdobywali miasto  
Uśpione ich snami, z porannym kogutem,  
Ulicę żydowską, karczmą i białymi duchami  
Schodzącymi łagodnie ku rzece  
Po stopniach oszlifowanych kości.

Zdobyczne mieli w ręku,  
Lustro ziemi, wody i nieba  
Pod korcem głuchej prowincji,  
Nawiedzała ich gołębnica języka w murach ciasnych  
Przez wąsko sklepioną bramę raj.

Zdobywali jeszcze idąc z niego,  
Miesiąc wynosząc na patykach  
Za miesiącem; układała im się mozaika  
Z pracą czasu naniesionych kamyków,  
Nie budowali, a mieli dom,  
Nie tkali, a jak lilie polne  
Byli, ptaki niebieskie.

Nawet w burzę, od której rozpierzchli,  
Podbili berdyczowskim obcasem  
Wyślizganą stopę Europy —  
Nie ruszając stopy skąd ruszyli,  
Wrośli  
W igłę w stogu siana,  
W oś z oszlifowanych kości.

On szykuje wojska, zatacza działa,  
Szturmy przypuszcza, biczuje kopytami ulice;  
A nad rzeką rozłożony wrzącym obozem  
Gnębi się, czy nie minął go Rubikon.

Z wykopalisk wznosi struktury miast  
Gdzie ludzie posnęli pod lawą.  
Zamieć kogutów po nocach budzi go z krzykiem.  
Bezwstydney, szydercze płamy nosi na czole  
Szpiegując za tajnym komunikiem.

Oto oś. Oto kość z ich kości. Tobie  
Budować jak artyście. Z powietrza czasów,  
Z trzciny własnych palców, łamanych za murami  
Szaniec przeciw miastu.

## OJCOWE LASY

Trzydzieści lat  
przebiegło w skok.  
Teraz powoli wraca.

Pamiętam cię z różnych lasów.  
W ostatnim byłeś koniuszym. Nie mogłem  
z tobą pilnować koni w lesie,  
w którym słuch ginął.  
Wracałeś z liśćmi i grzybami.  
Opowiadałeś jak łoś  
wyszedł z ciemnej rzeki, niosąc wysoko rogi,  
po których kapały gwiazdy.

Gdybyś dosiadł konia  
i cwałował nocami, oparłbyś się może  
aż na granicy Finlandii. Jednak mówiono,  
że te lasy się nie kończą. Rzeki  
raz do roku pękały, mogłeś zawierzyć ich drobnej fali.  
Lecz ty wiesz lepiej, byli tacy  
co nie wracali.

Byłeś zawsze wysoki, do końca  
widziałeś daleko w lesie.  
Może stąd wciąż cię widzę, jak majaczysz  
suchą kościaną twarzą na tarczy zegara  
pod nabrzmiałym księżycem. Pamiętam tę jazdę

przez las utajonych niedźwiedzi, na wznak  
pod księżycem, srebrzystą sanę.

Kiedy przyszli w wigilię, cóż ja mogłem przeczuć?  
Wypatrywanie jedno jak wszystkim zostało  
na skraju wielkich lasów — czy wraca  
syn, ojciec, gdzie pasterze, gdzie gwiazda, gdzie król...



## MAŁA PODRÓŻ NA WSCHÓD

*J a d z e*

### I

Morwy zielone pola złote zboża  
i zagajniki  
tam sikory tam i słowiki

Abstrakcje pińskie, czarnoziem Wołynia  
na Horyń złotych pestek pękająca dynia  
urwisty brzeg jak ruina

I płowa Ukrainka rosnąca wśród cieląt  
której słowa śpiewane jak młode gołębie  
gruchały po gryce latały w porębie

Był koń z rozwianą grzywą z kopytem u grobu  
okuty na grudniowe grudy śnięte śniegi

Grzał luty  
okutany w kozuchy  
a ryby w przerębli  
nocą milczkiem łuszczyły przepływy gwiazd zimnych  
wśród których księżyc płetwą migotał jak szczupak

Sumy drzewom ciążyły w bór ciemny wniesione  
przez lisy latające na puszystych kitach  
opadały ze śniegiem igły w noc marcową

w szyszkach pagody królestw  
imperia pogody

## II

Wagony dla bydła racjonowane kostki cukru  
woda wrząca na stacjach mrozy ze srebrnego lukru  
w zaspach czasu łosie z jedlin w rzekę wchodzące jak rogate duchy  
huk pękających lodów niedźwiedzie w malinach

śniegu snu kraina  
gdzie tyłu  
mróz lukrem obłóczył

## III

Po zapyłonych drogach do Samarkandy jadą wolno arby  
o osiach rozspiewanych pod niebem jaskrów morskich  
na płacykach osiołki w długich cieniach stoją  
strzygą uszami błękit wnet pójdą przez palmy  
w uliczce piec otwarty na gorące ściany  
ponad rubiny żaru złociste lepioszki  
rzuca półnagi Chrystus gdy nad minarety  
wzdyma się namiot wschodu

Od Uralu po Pamir  
kołyska jak wszechświat  
rozhuśnany ocean gwiazdzistych bodiaków

## IV

Po bogatych ogrodach Meszchedu Gulistanu  
płaska pustynia  
po wyczerpaniu gór  
wbity w oceany  
półwysep  
kieł słońiowy  
trzonowy ząb  
języków

Tam pawiookie woły poskramiacze węży  
w słodkich trzcinach cukrowych pierwsze groźne wiersze

po niebie idzie Skorpion a Orion zachodzi  
na brzegach gwiazdy muszle i okwiaty  
na niebie diademy kolie graniaste kamienie  
księżycy wybuchają w skarbcach jak petardy  
i nigdzie gwiazdy nie są aż tak dotykalne

Pół ojczyzny  
zostało w szmaragdowej zatoce Bombaju  
którą gdy podnoszono kotwicę napadło  
słońce jak zwiastowanie wszechmocnego Brahmy

## V

Napór gór i wód.

## TRADYCJE MIŁOŚCI

O pocałunek lewej piersi muszę się prawować,  
jakby to było jabłko w przetrwałym ogrodzie.  
A wróciliśmy do miejsc naszej miłości, starych ulic,  
gdzie z liści spadał deszcz brunatny, w bezksiężycowe miasto.  
Stają mi w oczach sceny tradycji pasterskiej:  
Dafnis i Chloe koziołkujący pod drzewem;  
Adam i Amaryllis, a może imiona są inne,  
Werter przeszyty piorunem, kornwalijskie historie.  
Towarzyszy nam wszędzie echo, w tych starych murach,  
i z echem naszych kroków ta odleglejsza pamięć  
tworzy harmonię. Dlatego ten targ?  
Jakże jest słodkie to, co zakazane.  
A to co zakazane po raz drugi, słodsze.

## EMBLEMAT

*Jankowi Darowskiemu*

Stary już był i pług szedł wierzchem pola  
kiedy wychodził rano za koniem  
i nie policzone zaorywał ziarna.  
Wyrośnie, cieszył się, ale płytko  
siedzieć będzie,  
syna trzeba z miasta odwołać,  
nie może ziemia leżeć ugorem.  
Późną jesienią  
kozikiem pług wyrył na deszczułce  
słońce szczere wyobraził  
i podpisawszy pełnym imieniem  
zdrzemnął się  
ku rozpaczy suki, drobiu  
i niewydojonych krów,  
osiągnąwszy swój własny  
paleolit.

## POŻEGNANIE

I tak nas naszły jesienne pogody,  
i tak odleciał ptak, z nim liść i słońce.  
Posłuchaj mowo, co ci mówi jesień,  
pod skrzydłem szarym skulona, posłuchaj:

Tych poszczególnych istnień żal mnie bierze,  
i tylko poszczególnych istnień żal mnie bierze.  
Liczyłem dziś na palcach, bo to czas żegnania;  
zaplątały się palce, kostki w nich chrzęściły.

Na wankuwerskiej wyspie zapijał się Malkolm.  
Teobald na połowy wyruszał nad ranem.  
Ciemna kobieta w wody spoglądała zimne  
i zarzucała sieci na powrót Odysa.

Tak biegnie ścieg legendy. To ci mówi jesień,  
kiedy nas naszły jesienne pogody.  
Odeleciał ptak, z nim liść i słońce.  
Żegnajcie, przyjaciele. Żegnajcie i mnie.

## BIEG NA GRANICĘ

wywołując go  
przebiegła czereda psów  
a za nimi strzelcy ze starożytnymi muszkietami  
suchy proch na panewkach  
trzask wystrzałów

nagle  
przystanęli nad jeziorem  
i w tafłę snów zapatrzeni  
widzieli góry przed oczami  
słońce wytaczające się po mgłach doliny  
krzyżyki ptaków

rozległa się dolina  
echem wyznaczone granice wyrosły

czas zaprzeszły wyszedł ogromnym lasem  
kule ognia rozjarzał w pyskach latających lisów  
wynosił starożytne liście na rogach jeleni,  
gwiazdą do złotych koron spływał, wilgotnym diamentem,  
w tych galeriach obrazów, w mrocznych korytarzach  
zatrząskiwanych blaskiem monstrancji  
gdzie przebiegał tropiciel, krzyki, potem strzały.

śledzono bowiem rezonanse,  
pióra ptaków skrzybiały,  
wiatr przewracał kurniki, roznosił szopy,

gawieź w liściach zatracił,  
odkrywał renesanse ozimin, ognisk upały,  
mikowce do białości rozżarzał.

z każdym by się sprzymierzył,  
bywał w rewolucjach, miał strategię globalną,  
i zatracone znaki w dzieciństwie rozjaśniał,  
w kuli latarni morskiej, na archipelagach,  
gdy tropiciel zadudnił krokami po śladach  
i na łodziach rybackich wyciągano sieci,  
on cyklopie swe oko zagasił i w mroku  
wyczekiwał na gwiazdę.

nagle mieli widoki górskie przed oczami,  
słońce wytaczające się po mgłach doliny,  
chłopca w krzyżykach ptaków, niosącego kulę  
w kuli, niby w akwarium, na szklistych ekranach  
biegła czereda psów, a za nimi strzelcy,  
suchy proch widok ściemniał  
i z trzasku wystrzałów  
wybiegł chłopak  
na dłoni miał sen rozwinięty

(i uderzał o szklane granice jak ryba  
złociście tęcząca pod powierzchnią rzeki).







## WIERSZ CHCIAŁ BYĆ

1

To biblioteka mego pana,  
lecz studiuje on w polach.  
Srebrzysta harfa jego z rana  
wiatrom oddana i z wieczora.

Uspokojone liście bada  
mój pan na perszeronach,  
kurzawa blasku za nim gada,  
jaszczura albo mrówkojada,  
w łańcuchu z monad.

2

Wyszły trzy wilki za mym panem,  
skryty śledziłem nocą,  
wróciły w czterokroć nad ranem  
sierścią migocząc.

Pani noc całą w oknie stała  
od księżycowych drząc ballad,  
paznokciem szyby rysowała  
ostrym jak diament.

Dzień cały w zamku trwały szepty:  
mnie niepokoję bawiły,

gościem tu byłem, lecz widocznie  
byłem, bo byłem niebyły.

Na pojezierzach ziarnistych luster  
oddech zamglony kona.  
Wybieżał duch aktem strzelistym  
na cichych perszeronach.

3

Wiatrem wstrzymane obłoki.  
W góry objęte zatoki.  
Koła oszronione.  
W kołach  
ognie  
przycmione.

4

Duch w akustyce  
porusza Proteusza  
dźwiga brody  
omszałe:  
mówiłem panu: dusza  
w szpary ci wlezie,  
w świerszcze  
muzyczne.  
W żyły liści, w wiersze.

5

Ilekróć samotrzeć po wyspie Samos  
błąkałem się, Lesbio, w Melos samotny,  
trzask suchych chrustów płoszył jelenie  
wyczekujące na wzgórzach,  
śnieg oblatywał ze smolnych konarów,  
lawiny z hukiem leciały,  
byłeś w strumieniu, na wód granicy,  
lecącej w przepaść ze skały.

Sam ton ponosił rumaka rasy przedniej:  
widzieliście go w nocy i we dnie.

Oto już zatoczony na kołach  
 dionizyjski ducha pech  
 puszysty. Jak pęknięcie, jak rysa, gwałtowny szkic  
 szpicem bucika w piasku.  
 Rozzagwiony jak metropolis w gwizdzącą noc od blasku.  
 Oto, patrz, wydłużającej się linii zmierzch pośpiech niebaczny  
 na zakręcie.  
 Biegacz, któremu wybiegł naprzeciw w nowej twarzy szybki  
 Potyczka ich dwóch niech przejdzie do twojej historii i tkwi [zapaśnik  
 igrzyskiem w annałach.  
 Oto gloria, która się sama w sobie, ironicznie, rozpoznała.

## 7

To biblioteka mego pana,  
 lecz studiuje on w polach.  
 Pola otwarte ma z rana,  
 wrota na nocę w wieczorach.

Z wieczorem można przejść tak łatwo  
 w niepostrzeżoną ciemność,  
 której obrywa ucho kolczyk  
 ciężki i srebrny.

Wyjdź, mówią złote perszerony  
 wbite nozdrzami w wiatr:  
 od gwiazd dmie upał lata.  
 Wiersz chciał być, jest, duch  
 gdzie chce lata.

## AGE DE LA PIERRE (II)

*wyświetlonym cieniem Adama  
poświęcam*

My tu łupki zbieramy  
krzeszemy krzesiwo, w skóry się  
odziewamy  
mój mąż ma piękne igło

widoczek klasyczny się ściele

mamy działaczy kulturalnych  
i w ogóle żyjemy  
za pan brat z przyrodą  
zwierzęta nas mają za swoich  
a to ptaszyny nam śpiewają  
a to motylki koło nas latają  
mój mąż przechowuje w żelaznym pudełku  
muszkę z brylantem

z panem bogiem rozmawiamy  
pod gwiazdą gołą  
i w ogóle jest nam jak za piecem  
słoneczko świeci  
popiołów tylko dużo  
jak kiedyś w śróde

dzieci nam się rodzą śpiewające  
jak ryby w tutejszych rzekach

i myślimy że to jest ziemia  
albo inna planeta  
może księżyc

mój najmłodszy  
wybiera się z ekspedycją  
na Waszyngton  
podobno jak mówią najstarsi  
100.000 z-mikrofilmowanych książek  
ocalało w schowku  
Mona Lisa i Marilyn Monroe  
i jakieś kości  
słodko bieleją  
jeszcze z czasów  
gdy negrzy byli podobni do małp  
a sjonści zamordowali Chrystusa

czasem śnią się nam miasta  
Troja Ateny Jeruzalem Londyn  
lecz wszystko to odrzucone w czasie  
jak przed tym co go sjonści

widoczek klasyczny się ściele

ano sarneczki się łąsą  
ano krokodyle zbratane  
z mułów nam coraz wynoszą  
dawne królestwa

popiołek sypki się sypie  
i jeszcze gdzieniegdzie dymi

## P O G R Z E B

Więc trup...

Więc ja.

Chodziła Wenecja  
z Florencją pod rękę  
i tak ci galwanizowały tego trupa  
że wiatr słoneczny hulał mu po twarzy  
i aż do stóp dobiegał jak języki ognia.

Ach, tam był płacz  
jak zimny mokry mur kostnicy  
i wieniec zasuszonych jaszczurów  
grupką, grupką i za ręce się trzymając,  
pod te jakieś osiki drżące  
te pieski z podwiniętą kitą,  
ta cała zbrojownia, husaria, orszak mdlejący  
w siwiutkim szyszaku,  
las makówek, świec do pozłoty.

No i pod te brzoźki olchowe  
osikowe  
coś nieśli  
a widać, że ciężkiego.

Bokiem, ustroniem, urwistą ścieżką,  
jak ta romantyczność, duch poezji naszej,



dreptała Alicja, pomykała milicja,  
się nie spotykając.

Wtem te tłumy  
na wytartych kolanach, porwały się  
jak gibka łoża, i rachunek buciorów,  
saldo kamieni młyńskich  
deficytowały, a oblicze madonny  
ciemniało, półmrok był, gwiazdy  
się dopalały na burzliwych cmentarzach.

A mnie (więc ja) cały ten żal (ten żal, ten trup)  
śmiechem zanosił, tarmosił,  
małom nie pękł.

Chodziła Alicja, chodziła milicja,  
i tak ci galwanizowały tego trupa,  
że iskrzył świerkiem jak fajerwerk.

Żałobnicy spuścili parasole na kwinty  
i stali tak z otwartymi głowami  
pod deszczem jak groch gwiazd.

Grochem muru nie przebijesz,  
intonował ksiądz nad trumną.

## TRANZYTEM

Znalazłszy się w środku tranzytu,  
wyszedłem z lasu, porzucając trakt,  
lamparta, witkę laurową.

Oto smakowałem jasność  
i światłem bawiły się moje oczy  
rozszerzone na chwilę.

Płaszczyzna była z nadhoryzontem,  
uprzątnięta,  
lśniąca od metali.

Plastyczne  
fruwają okapy,  
kto chciał, chodził suchy,

albo się chłodził  
w cieniu  
kolorowanych chmur.

Nagość nie była przysłonięta  
i włos pubiczny  
czesany był w koafiury;

zanotowałem brody,  
loki,  
oraz dziwne warkocze.

Nie była tu znana jabłoń,  
ani wąż,  
ani ogniste wygnanie.

Archetypiczną świadomość  
mieliśmy tylko my, w lasach  
siedzący, uderzający w tam-tamy.

Powodowany potrzebą,  
zwróciłem kroki w kierunku budki  
wyglądającej jak świątynia buddyjska.

Wchodząc, usłyszałem szept:  
Czy naprawdę chcesz zasnąć  
w *surregio futur*?

Słowa te ostrzegły mnie,  
choć już zapach  
owionął mnie eterowy,

z lekką domieszką  
heliotropu.

Odmówiwszy lesdejskiej wody,  
ruszyłem ku dalszym lasom,  
pogrążając się z wolna  
w półmrok czarnych reakcji.

## PRZYPOWIEŚĆ

Syn Noego  
wszedł do namiotu  
i ujrzał ojca  
w nagim upadku

zawołał braci  
aby oglądali  
nagość i upadek  
pianę na ustach  
rażonych bełkotem

bracia weszli  
odwróciwszy twarze  
zakryli nagość  
burnusami z owczej wełny

lecz ten co przywołał  
ich na pośmiewisko  
ogłosił ojca  
sprawcą potopu  
podpalił arkę  
i zapuścił włosy

włosy wyrosły  
a arka spłonęła

## NOWA WERSJA

dziecko woła drzewo leci  
rzeczywiście wielka jodła  
opadała w dół jak na skrzydłach  
na dym z komina  
wziętem skręt i jestem na brzegu  
krajiny urwistej jak wizja Kassandry  
tu i ówdzie dmuchają chmurki pyzate dziewczęta  
ze słomek umaczanych w sproszkowanym mydle  
tęczujące obłoki przelatują obok  
jak balonowa zaporą  
i graf Zeppelin na łące osiada  
a tam Regio  
królestwo łapczywe  
gwizd ulicznicy  
jak odjazd pociągu  
gdzie jesteśmy wołają dzieci  
złaząc z pniaka lecącej sosny  
ba dzieciom trzeba mówić prawdę  
a co najwyżej odpowiadać wymijająco  
jesteśmy na łączce a oto kwiat mleczu  
nie trzeba go ssać tylko dmuchnąć  
ten desant pajaków to jest babie lato  
i tu właśnie jesteśmy i tutaj się bawmy  
kto przystawi lusterko do oblicza świata  
ten będzie ukarany wyziewami siarki  
kąpiele są wzbronione zresztą jeszcze zimno  
w rzeczywistości mroźno deszcz siecze wiatr wieje

słońce gaśnie powoli księżyc się zasnuwa  
drzewa stają się nagie gwiazdy nikną w pył  
zapalimy w kominku kto opowie bajkę  
raz zbladło mleko na widok księżyca  
i wszystkie róże skłuty się w ogrodzie  
jak huf rycerzy i marsowych panien  
i makolągwa ptak dziwnie nazwany  
szypułkę maku przyniosła w swym dziobie  
ale zwierzęta, duchy, ludzie, drzewa  
i wszystkie znaki na ziemi i niebie  
spaly bezsennie o samotny ptaku  
co teraz zrobisz w tak pustych przestworzach?

QUIS HIS LOCUS,  
QUAE REGIO...

Jednorożca oglądam  
więzionego w ogrodzie  
Złożony łańcuch.  
Chwost ufryzowany.

Palisada kolista  
tonie w ornamencie  
kwiecistym i zielonym,  
z haftem monogramu.

Tu już upolowany  
patrzy nad barierą  
w usztuczniłą idyllę  
rajskiego *milieu*.

Mleczno-biały dworzanin?  
Figlarny pięknoduch?  
Groteska niepokoju  
świetnie uchwycona.

## B A L L A D A

Od stóp do głów  
od sznurówek do włosów uplecionych w warkocz  
korona: korzeń cierń i kłós  
bogowie: Bakchus i Apollo  
muzy: varia  
varia: sznur

Zapis: sznureczki  
znajdziesz w lewej szufladzie  
na dnie pod kluczem  
który znajdziesz  
w prawej skrytce  
kredensu pod trunkami  
(trunków nie ruszać  
nawet po śmierci)

Taki był nie inny  
pamiętam jak okraczał krzesło  
mówiąc przez owal w poręczy:  
rozmontowałem żaglowiec  
płótna oddałem malarzowi  
kotwicę na złom (Armia Zbawienia)  
kadłub na tawernę  
sobie zostawiłem olinowanie  
łańcuch od kotwicy kilka zwojów sznurów  
różnej grubości  
zapraszał serdecznie do ogrodu



na wieszanie bielizny dlatego przyszedł  
panie posterunkowy tak to moje koszule nocne

Samotność  
jak bazylika!  
wnętrze ogromne organiaste  
kolumny nacierają z mroku  
echo się szeptu rozprzestrzenia  
aż po sąd ostateczny na kopule  
ochrowym błyskiem gaśnie świeca  
i twarz jak z ospy w stearynie

Nad mydlinami kiedy stałam  
nagle jęknęłam jak w kryształach  
w bańce mydlanej przywidziałam:  
Ofelia wisi a kochanek  
przed sądem staje ostatecznym  
w katedrze zimnej jak lodowiec  
mydlony pianą wściekłych wód.

Ostatnie słowo nie jest moje  
Xiążę, przesłanie traci grunt  
z pianistych mydlin wściekłych wód  
archipelagów miraż pryska złoty.

## C A N T O

Jak więc wyłuszczyć  
co się zmełło  
w Mołdawii, albo kukuruza  
jak pocisk międzyplanetarny —  
znasz mamaługi, małamazje,  
młyn zamieszkałeś — twórcę zim  
masz za posiadłość,  
ja ci powiem  
jak uchybieniem czoła śmidze,  
widziałem w Azji  
muchorydze,  
na suchym udźcu antylopy  
jechałem z miesiąc, znam suchary  
jak mysz złowiona w żar Sahary,  
znam sód korzenny, sacharynę,  
piołun zrywałem i kalinę,  
i z zsiadłym mlekiem jadłem uruk,  
umiałem sutki ssać kobyle,  
niosłem raz harbuz, jego ciężar  
był globem, więc musiałem rzucić  
mięsistą kulę, by dopełznąć,  
czy wiesz jakie są chlorofile  
z rosistym rankiem, kiedy księżyc  
daje się przyjąć jak komunię,  
tak się wypełnia, to co widzę  
surrealista jakiś filmu  
mógłby zmontować ziejąc okiem

w podświadomości swe głębokie  
gdyby mu wystarczyło snu,  
ale gdy pasę moje gnu  
uśmiecha mi się Dali z dali  
jak sucha figa makagiczna,  
nad ranem woda krystaliczna  
unosí ciężką kroplę-kulę  
jak mit, że słońce jest z oparów,  
a duch unosił nad wodami  
zarysy ciemnych swych zamiarów  
i małe bomby pod skrzydłami  
jak mrówcze jaja,  
a gdy Gilgamesz pisał prorok,  
lśnił piasek suchy po potopie,  
tak i mnie bawi, jak stwierdzono,  
rozmowa, choć po katastrofie,  
i cały ból dzikiej przyszłości  
odnoszę w przeszłość, współczesności  
mając przykłady, że przemija,  
i dobrze że przemija, ja  
jeszcze jestem, i co zjadłem,  
i w jakiej byłem wodzie jasnej,  
i ocalenie, złoty włos,  
meszchedzkie złote minarety —  
takich owoców tak jak tam  
nie ma w ogrodach Andaluzji,  
ani na berłach Akwitanii,  
rzuciłem granat, chłopcy biegli  
w rozprysku szkarłowatych kul,  
i tam widziałem, gdzieś na zboczu,  
wąchając rozsrebrzony mocz  
zjawisko demiurgiczne — noc,  
dziewczyno wzórza kolczastego,  
tam cię poznałem, ale dotyk  
nim z oczu przeszedł w ciche dłonie,  
nim wyjął z mgławic orbis ciała,  
ciała gwieздnego, kształcił siebie  
w tęsknocie, w mrocznym utajeniu,  
w tabunie, skradał się w taborze  
i szedł podjazdem w dziki gwałt,  
aż rozjaśniło się w malarstwie,  
że sztuka nie zna gwałtu, lecz skupienie,  
i łechotliwe podniebienie  
jest wrogiem pasji, ty zrozumiesz

co wyłuszczyłem: ziarno  
kołysze w nocy gęsty kłos,  
i jakie słońce ma brzoskwinia,  
lub avocado — miąższ.  
Bukiet owoców gdy postawisz  
martwą naturą w prostej ramie,  
to, znając głody, i pragnienia,  
możesz powiedzieć wreszcie: syty  
odchodzę z duszą w heraklity,  
z których strumyczek w skale wiercąc  
jak wszechświat — nie wie o tym nic,  
a my, co wiemy, mit i nic  
przenicowawszy, przenikniemy  
(kto? — nic, co? — nikt.)  
tak wyłuszczając, co się zmełło  
w Mołdawii, albo w Moro-Goro,  
bo miejsce po nas tu zostanie  
jak odcisnięty sen nasz w sianie  
i cały żar w formułę chemii  
— przeinaczony świat alchemii —  
wypisze piasek, zwieje wiatr,  
uworzy w listek, albo w kwiat.  
Więc zaburz zmysły, dzwony zbij,  
przez kamieniołom rzuć mozaikę,  
sztuką jest tylko bunt i gwałt,  
nad którym włada twoje  
berło.  
wynaturzony tworząc kształt,  
stworzyłeś niebyt, boski żart.





## POINT-NO-POINT

Jaskółcze jezioro  
spokojne  
jak martwe oko,  
czyste, bez ły  
z dziwnym drzewem przygiętym  
od przelotnego wiatru,

oprawia kamień  
w centrum  
jeszcze spokojniejszy,

odbija niebo  
po dżdżu  
jeszcze czystsze.

## TUKTOYAKTUK

kucnąłem pod ścianą  
przez wachlarze łopuchów  
oglądałem zaścianek  
pajęczyna laźła po pająku  
łaka rechotała po bydle  
z plam na słońcu blask bił  
— to nietoperze  
przeleciały przez próchno  
dzikiej dąbrowy  
to one srebrzą się tak  
pyłem próchnicy —  
zapisalem na ścianie  
dzień miejsca miejsce dnia  
i depcząc łopuchy ruszyłem  
za siny ocean  
przelecieliśmy nad zimną wyspą  
jak zmrożona piana  
poprzez jeziorne oka sieci  
rozwieszanej mgliście  
od Hudsonu po Winnipeg  
potem morze kłosów i traw  
i za górami  
osiedliśmy  
na przeciw  
wysp fosforyzujących  
zapisuję dzień i miejsce  
dzień miejsca miejsce dnia



ważę w dłoniach dwa  
anachronizmy  
smaga mnie  
pajęczyna drutów  
łazi po mnie  
natrętna łąza

## Z GÓR SKALISTYCH

### I

Góra ruszyła  
masyw przebity tunelem  
jak ciemną myślą  
pokruszony  
rumowisko skał  
zбочa nagie po lawinie  
za górą katedralną  
przedział wód  
rozplatające się z potoków rzeki  
u przedziału wód  
piję gdzie czas  
ma grzbiet kamienny  
z kubka na łańcuchu  
z gardzieli psa  
słońce nade mną  
łuszczy jezioro łódź  
kwili ptak z wodospadu

### II

w stronę gór  
powietrze czyste  
zobaczyć by można własną śmierć

miedzioryt panoramy  
przesmyk zaciska

kto spada  
kto poraniony czołga się  
jak grzechotnik  
kto patrzy kamiennie  
kto z hukiem przepływa

obłok cicho przełącz zamyka  
opar bury wypełnia dzikie przestrzenie  
ciemna teraz wspinaczka  
głuchy upadek

## JASZCZURKA

W białej pajęczynie  
rozkręcam słońce  
wypuszczam  
jak z procy  
kulistą chęć  
pomarańczy

łapczywie  
chwytam mnie ostęp  
wykryty ogrodu  
jego soczysty miąższ  
parkanowy zaułek  
perski raj

pryskają  
szkarłatne pestki granatu  
wiruje nad śmietnikiem  
rojowisko błędnych much

przywarty do muru  
pęknięty skazą szpary  
wysuwam język  
jaszczurczy

## N O C

I znów powiedziałem: nie. Po trzykroć się zaparłem.  
A noc była cicha, łagodna,  
tkwiły w niej klucze gwiazd, rdzawiejące, jak mitologia,  
jarzył się pocisk astralny.

Była to zwykła noc, cieplarniana noc myśli,  
podniecająca zieleń egzotyczną,  
którą ludzie hodują z nagiej nędzy zaświata.

Noc w miarę jasna, bardzo oczywista,  
zagęstwiona pustkami, prawie — dotykalna.

## ANTY-PRIMAVERA

Cała w pąkach, rozmiękła jak trup,  
jesteś wiosno obrazem rozkładu.  
O tobie śpiewa poeta i ptak,  
a ja cię witam jako zimny śmierć.  
Z rozkutego wynoszę sadu  
zetlałe sople, stalaktytu cierni,  
topniejącą koronę białogradu.

Ten spokój, który leżał  
na równinach i w sadzie,  
stwardniała rzeka, uciszony las,  
niebo jak batysfery ochronna powłoka,  
grafika czarno-białych akcentów i blask  
suchy, iskrowy, chrzęszczący jak pancerz.

Twe zapowiedzi, wiosno, są fałszywą sztuką.  
Jesteś jak poetycki chwyt starej natury.  
Zimny krajobraz więcej ma prawdy, niż pąki,  
i rozbejtane niebo, z krótką, gromką burzą.

W zimie czerpałem wodę z wykutej przerębli,  
paliłem płomień jasno, wiedziałem, co wiatr.  
Jednoznaczne mijały się na śniegu ślady.  
Nim przedzwoniły sanki, już zanikał ślad.

## NIEDOSYT

Mój kumpel kaleczył się na lekcjach  
sapiąc nacinał sobie uda kozikiem  
inni liczyli gwiazdy  
jak odległe monety  
porzucając zburzone  
rzeczywistości słowne  
Bury hodował pantarki  
pawie koguty i szczurniki

ja się czasem zmieniałem w jaszczurkę  
chciałem zapaść w kamień  
kochałem drzewo jak kobietę  
biorę jakiś płacz na ręce  
pólistniejący płód  
narcyza i jeziora

dziewięć panien  
przycina ogród  
co która dotknie liścia  
ptak jak obłok wlatuje  
zagęszczająca się mgła  
pęta motyle i ważki  
wiatr zasycha w bursztynie  
jak profetyczny sen bez wyjścia

na miejscu gdzie się tliły  
metafizyczne sowy

szarawy kopczyk pierza  
z wysterczającym piórkim

przechodzą mnie procesje mrówek  
kot zwinięty w kłębek  
zasypia na podbrzuszu

budzę się  
pełen zmarszczek  
z naglącej pamięci  
spisuję szmer przypowiestny  
figowego drzewa

wtórny niedosyt  
słownej rzeczywistości



## ARCHANIOŁ ARCHEOLOGII

kopałem  
za indiańskim zbożem  
w sypkiej ziemi z odwalonym  
postumentem  
zarytym skrzydłem  
w kopczyk

echo słońca w bursztynie  
światło jak miód ustały  
cień pszczelnika  
widmo barci

wyroiły się z kopca  
i diamentowymi skrami  
dzikie pszczoły  
tryskały

odsłaniał się  
skrzydłem  
spękany udem

muskularną dłonią  
miecz wbijał  
w żyłę skały  
sam skamieniały

kopałem za indiańskim zbożem  
w sypkiej ziemi  
z suchością spichrza w ustach

głębiej głębiej  
po ziarenko  
poza wygnanie  
w tańcu  
dzikich pszczół

aż na pokąsanej dłoni  
złożyłem  
jak oko ptaka  
ziarnko złota  
jęczmienne

zdolne kiełkować

## CYRKIEL

Dwa kręgi zakreśla ciało  
oglądane jak w prosektorium  
paznokciami wczepione w ziemię  
włosami wrasta w głąb nieba

rozpościerając dłonie na wirujących stolikach  
nie wiem już gdzie jeszcze jestem  
wywołuję ducha jak z puszczy  
gdzie wilk wyjący syci swym głodem przestrzeń

## WIELE STÓP W GŁĄB

1

Absolutnie szary kamień  
położyłem wśród wielu  
rubinów brylantów i pereł

ten wyzywający gest  
uczyniłem dlatego  
że od dziewięciu lat  
nie miałem ani jednego snu

ale orgia klejnotów  
trwała niewzruszona

2

Gdy tylko zwiąło chmurę pyłu  
i dymu  
wskoczyłem w lej po wybuchu  
pode mną  
według prawd utwierdzonych  
było źródło  
wielka cicha woda  
do której nocą schodzą stopy  
jak bestie do wodopoju

siedziałem na dnie jamy  
która nie napełniała się wodą

ale zdawało mi się  
że słyszę szelest tysięcy stóp  
i cichutkie chłęptanie

wszystko to musiałem sobie wyobrazić  
sypiając już dziewięć lat  
bez snu  
jak chuda egipska krowa

3

Nie winię moich stóp  
wyglądają naturalnie  
i niczym  
nie odznaczają się specjalnym  
zresztą trudno iść ze stopami  
do psychoanalityka

## W SZELEŚCIE STRACONYCH LIŚCI

W szeleście straconych liści  
dwa błękitne ptaki  
rozkuwają w igliwiu  
leszczynowy orzech

nie opowiemy gór  
ani dolin  
bo opowieść nasza skłócona  
ten co widział sępa  
obnaża się i biczuje  
ten co konia ujeżdżał  
ostrogą królestwo ryje  
nie urodziliśmy się pod ciemną gwiazdą  
gwiazda była lutowa  
w jej rdzeniu robaczywe  
gnieździło się światło  
światłikowe fosfory  
osuwają się z świstem  
z szeleszczących aureol  
w iskrach karakonów  
wiatr wytrząsa owadzie żuźle  
z zdziczałych słoneczników  
i zażęga róże  
jak złowrogie lampiony  
oświetlające blaskiem urywanych grzmotów  
nasz rozdwojony majestat  
nasz skłócony upadek

gdzie dwa ptaki błękitne  
rozkuwały orzech  
a z pobliskiej jabłoni  
jak szydercze echo  
spadło z łoskotem jabłko

## MARTWA NATURA

te gałęzie na stole  
zakwitające wiosną  
niesamowite  
w swej pokrętności

jak kute  
w ogniu  
żelazo

osypane  
kwieciami  
do białości



## TRZY RÓŻE

Oto jest róża, której krwawe płatki  
leżą na ziemi  
wiatr był tej nocy i gruba ulewa  
zbudzony trwałem w oknie przez długie godziny  
i kiedy ciemność, wiatrem rwana pajęczyna,  
rozżarzyła szkielety, zasnąłem na chwilę.

Oto jest róża, której pąk rozbłyska  
w mrocznej zieleni  
wiatr był tej nocy i sucho zświstywał  
z musujących obszarów pikujące ptaki  
i kiedy nagle z brzękiem pękła szyba  
zdawało mi się zasnąłem na chwilę.

Oto jest róża, która mnie pokłuła  
gdym siwą nocą wbiegł w ogrody wiatru  
lecz teraz kiedy świt odbiera znaki  
unicestwiając iluzję teatru  
i róż z błękitem miesza nad różami  
wydaje mi się, że nigdy nie zasnę  
i zawsze będę rwał porywy wiatru.

## POD WIECZÓR

*Wili i Andrzejowi*

Miałem moment jasności  
pod wieczór  
kontury wszystkich rzeczy  
super flumina Babylonis  
wpiły się we mnie ostro  
ale bezboleśnie  
niebo napięte  
przebijało się  
gwiazdami  
które nie były blaskiem  
ani dusz ani materii  
lecz blaskiem blasku  
miałem świadomość rzeczy górnych  
i rzeczy dolnych  
koła i dyszla  
rzeczy żywych  
i rzeczy martwych  
widziałem armie  
wychodzące z podziemi  
i składające broń  
w kozły na horyzoncie  
sylwetki ciurów  
podświadomości  
poruszały się jak rzezane w szkle  
kukły

które wewnętrzny żar  
upłynniał  
miałem moment  
absolutnego uspokojenia  
pod wieczór

olinowania i maszty arki  
niesionej sennym potopem  
skrzypiały  
zwierzęta  
ułożyły się spokojnie  
do snu  
w oddali  
majaczył szczyt góry Ararat

łagodny jak naparstek  
na palcu Boga

## SENNA GWIAZDA

z maku  
rozszanego po niebie  
przez wiatr

z nocy  
cichej

z kołysanki  
na grzebieniu  
cygańskim

przez długie rzęsy  
drzemiących oczu  
dziecka

z dymiącej  
równiny

z całego życia  
z całej niemocy

dopalająca się  
iskra

nieskończoności

## SPIS RZECZY

### I

<i>Ogród</i> .....	9
--------------------	---

### II

<i>Widok</i> .....	13
<i>Ścieżka srebrnego żwiru</i> .....	14
<i>Człowiek to tylko szumiąca muszla</i> .....	15
<i>Wiersz dydaktyczny</i> .....	16
<i>Kluczyki</i> .....	17
<i>Argument</i> .....	19
<i>Bunt wierszem</i> .....	20
<i>Modlitwa</i> .....	22
<i>... (Twój jedwabisty włos)</i> .....	23
<i>Kiedy pada śnieg</i> .....	24

### III

<i>Ars poetica</i> .....	27
<i>Prehistoria</i> .....	28
<i>Mitologia</i> .....	29
<i>Age de la Pierre</i> .....	31
<i>Kołęda</i> .....	32
<i>... (Gwałtownikami)</i> .....	34
<i>T r e n</i> .....	36

<i>La Condition</i> .....	37
<i>Zdobycie Berdyczowa</i> .....	39
<i>Ojcowe lasy</i> .....	41
<i>Mała podróż na Wschód</i> .....	43
<i>Tradycje miłości</i> .....	46
<i>Emblemat</i> .....	47
<i>Pożegnanie</i> .....	48
<i>Bieg na granicę</i> .....	49

#### IV

<i>Wiersz chciał być</i> .....	53
<i>Age de la Pierre (II)</i> .....	56
<i>Pogrzeb</i> .....	58
<i>Tranzytem</i> .....	60
<i>Przypowieść</i> .....	62
<i>Nowa wersja</i> .....	63
<i>Quis his locus, quae regio</i> .....	65
<i>Ballada</i> .....	66
<i>Canto</i> .....	68

#### V

<i>Point-no-Point</i> .....	73
<i>Tuktoyaktuk</i> .....	74
<i>Z gór skalistych</i> .....	76
<i>Jaszczurka</i> .....	78
<i>N o c</i> .....	79
<i>Anty-primavera</i> .....	80
<i>Niedosyt</i> .....	81
<i>Archanioł archeologii</i> .....	83
<i>Cyrkiel</i> .....	85
<i>Wiele stóp w głąb</i> .....	86
<i>W szeleście straconych liści</i> .....	88
<i>Martwa natura</i> .....	90
<i>Trzy róże</i> .....	91
<i>Pod wieczór</i> .....	92
<i>Senna gwiazda</i> .....	94

Dar  
Instytut Polski  
w Sztokholmie

**Cena F. 10 (dol. 2,25; sh. 18/6)**